

Doktor V. St. (fragmenty)

Nie mogę się powstrzymać, od czasu do czasu wstaję, przechodzę do pokoju szefa (jak zawsze czuję się tam nieswojo) i patrzę na puste miejsce na ścianie koło stołu – ledwo widoczny jaśniejszy prostokątny ślad. Dotykam palcami zimnej, chropowatej ściany, rozglądam się i przykładam do niej rozgrzaną popołudniowym słońcem twarz. Czyżbym więc i ja...? Lepiej niech już wróci. Niech wróci.

Dotarcie od bramy głównej Muzeum do drzwi naszej pracowni konserwatorskiej zajmuje mi prawie pół godziny. Kierownik pracowni, doktor Vetulani, który utyka na prawą nogę, ma trochę gorszy czas. Nie słyszałem jednak, by kiedykolwiek narzekał. Nawiasem mówiąc, nie słyszałem, by na cokolwiek narzekał. Prawdę powiedziawszy, w ogóle dość rzadko go słyszę. Oczywiście nie spóźnia się nigdy.

Przecinając na ukos rozległy dziedziniec, wybrukowany w szachownicę szarą i zieloną kostką, okrążając z lewej strony fontannę, z której spogląda na przechodzących wynurzająca się z piany Wenus Boticellego (oczywiście kopia), omijając klomby i rabatki, które podobno założono jeszcze przed tamtą wojną, wreszcie skręcając w żwirową, nieco zaniedbaną alejkę, przy betonowej zabce, od lat połykającej cierpliwie różne muzealne śmieci, dochodzi się w końcu do niepozornej furtki, ukrytej w załomie omszałego muru. Teraz trzeba mozolnie wspiąć się wąską klatką schodową na trzecie piętro, potem długim, wygiętym w łuk holem okrążyć zaplecze sal sztuki krajów Lewantu, pokonać jeszcze czterdzieści cztery strome, skrzypiące i śliskie od nieustannego pastowania stopnie schodów (czemu nam to robią?), przejść obok lekko zakurzonych drzwi, prowadzących do magazynu współczesnej grafiki, w końcu wejść na główny muzealny trakt i podejść łagodną pochylnią przewiązki, łączącej budynek główny z jego prawym skrzydłem. Tutaj, na uboczu, na piątej kondygnacji, ułożone równo w amfiladzie są nasze pokoje. Ich mansardowe okna z markizami i okiennicami wychodzą na rozległy park na tyłach Muzeum (te markizy i okiennice mają polecenie walczyć ze słońcem, naszym trzecim, obok kurzu i wilgoci, największym wrogiem). Niedaleko, po drugiej stronie korytarza, ma swoje lokum administracja Muzeum; ich archiwum zawałone jest stertą papierów, dokumentów, ekspertyz, wyjaśnień, potwierdzeń i zaprzeczeń, dowodów wypożyczeń i zwrotów, kwitów przewozowych i innych, które leżą, kłębią się na stołach, na regałach, na krzesłach, niektóre nawet na podłodze. Luzem, w teczkach i segregatorach. Dalej mieszczą się pokoje socjalne naszych zawsze znudzonych strażników i składzik ze sprzętem

przeciwpożarowym. A za masywnymi, stale zamkniętymi drzwiami, u wylotu tego ponurego korytarza zaczyna się rewir słabo zbadanej płataniny przejść, schodów, galerii. Mało kto w tę otchłań zagląda, mówi się, że Muzeum ma tam również jakieś ekspozycje i od czasu do czasu udostępnia je zwiedzającym, ja jednak, jak długo tu pracuję (w grudniu miną trzy lata) nigdy nie widziałem żadnego amatora sztuki przechodzącego przez te drzwi; czasami sprzątaczkę, pod nadzorem pracownika Dyrekcji, wycierają w tym labiryncie kurze, ale i one nie zapuszczają się zbyt daleko i wchodzi – tak podejrzewam – jedynie do pierwszych z brzegu pomieszczeń. Niechętnie zresztą o tym opowiadają.

Jedno jest pewne – nasze Muzeum jest ogromne i nie jest to tylko moja opinia. Kilka czy kilkanaście pięter w górę, chyba nie mniej w dół i jeszcze skrzydła. Wybudowano Muzeum pod koniec tamtego wieku, gdy oczywistym się stało, że dzieło sztuki odrywa się zupełnie od codzienności ludzkiego bytowania, że idzie już własną drogą, wiezie własne, odrębne życie i trzeba mu znaleźć jakieś godziwe, dostatecznie pojemne schronienie, z widokami na przyszłość. Liczba dzieł sztuki i tych rzeczy, które za dzieła sztuki uchodzić pragną, które do uznania za dzieła sztuki pretendują, produkowana nieustannie przez armie artystów: malarzy, rzeźbiarzy, grafików i fotografików, performerów, scenografów, instalatorów, wszelkiej maści plastyków oraz designerów i komputerowych projektantów poczęła od pewnego momentu wzrastać lawinowo; ktoś te zbiory musi szybko kwalifikować, sprawnie gromadzić, klasyfikować bez wahania i szybko udostępniać publiczności. Moi złośliwi koledzy uważają co prawda, że obecnie na dziesięć pozyskanych obiektów jedno wędruje do sal muzealnych, dwa do magazynów, a siedem jest w podziemnych kazamatach dyskretnie, po cichu niszczone, tak by nie urazić artystycznych uczuć i nie podrzucić tematu pismakom, ale jednak trudno dać temu wiarę. Bardziej wierzę tym, którzy twierdzą, że Dyrekcja płaci teraz niektórym artystom, by n i e oddawali nam swoich prac i miłośnikom sztuki, by n i e zwiedzali naszych wystaw. Jest i taka – wcale prawdopodobna – opinia, że Muzeum, w tajemniczy sposób, rośnie powoli wraz ze swoją kolekcją, ale to wymagałoby obserwacji i szczegółowych pomiarów. Te wszystkie fantastyczne teorie, które naszą Pinakotekę traktują jak żywy organizm, który wchłania, trawi, wydalą, rozmyśla, kocha, nienawidzi i ma konieczne uświadomione i nieuświadomione problemy egzystencjalne, idą jednak – moim zdaniem – zbyt daleko. I trącą tanią literaturą. Dziwna sprawa, gdy spogląda się na stary budynek Muzeum z zewnątrz (czasem, wieczorem, przed powrotem do domu, spaceruję po parku i karmię kulkami chleba senne kaczkę, które pływają w stawie pod naszymi oknami), nie wydaje się ono takie duże. Trudno jednak stwierdzić, gdzie kończy się budynek, a gdzie rozpoczyna park. Czyżby złudzenie optyczne? Przed zmierzchem rzeczy zmieniają kształty i

rozmiary. Próbowałem kiedyś obejść Muzeum dookoła, ale zapadł zmrok, zaczęły pohukiwać sowy i puszczyki, pogubiłem drogę, w końcu zawróciłem, bojąc się pobłądzić w nieznanym mi dobrze miejscu. Podjąłem niedawno mocne postanowienie, że zejdę kiedyś do parku wcześniej; może za dnia rozwiążę tę zagadkę? Gdyby tylko było mniej pracy...

...Wiekowe, chrypiące radio szefa nastawione było stale na program nadający muzykę klasyczną. Pokrętko wyboru częstotliwości urwało się – jak wspomina Ludwik, starszy kolega i mój konserwatorski cicerone – dawno temu, przed laty, gdy doktor Vetulani rzucił w odbiornik filiżanką z kawą. To był pierwszy i jedyny akt niewytłumionej emocji pana Stanisława, jaki zapamiętali jego współpracownicy. Tego dnia Bogna Vetulani, wówczas „zastępca kierownika Pracowni Konserwacji Muzeum”, a zarazem żona Stanisława V., spakowała swoje rzeczy i opuściła doktora oraz pracownię raz na zawsze. Pani Bogna Jakaś Tam, w każdym razie eksVetulani, była tu niedawno. Przyniosła imieninowy tort. Do byłego męża nawet nie zajrzała.

Oprócz odrapanego radia doktor ma jeszcze w swoim pokoju (słowo „gabinet” w żadnym wypadku nie pasuje, już chyba lepiej: „erem” albo *refrigerium*) gramofon na płyty winylowe; czasami słyszymy przez ścianę rzewne dźwięki big-beatu i rock-and-rolla z lat wczesnej młodości szefa albo któryś z trzeszczących niemiłosiernie koncertów fortepianowych Józefa Hofmana.

Rano, zaraz po przyjściu do pracy (zawsze o tej samej porze, o dziewiątej minut piętnaście), gdy tylko złapie pierwszy oddech po uciążliwym zdobywaniu piątej kondygnacji i dojdzie do jakiegoś takiego ładu ze swoją wierną – jak mawia – arytmia, doktor Vetulani zaparza dzbanek słabej kawy w starym ekspresie na śmieszne, papierowe filtry (przywiózł ten – pożałuj Boże – ekspres, jako wojenne trofeum, ze swego pierwszego stypendialnego wyjazdu za granicę, w czasach, gdy Brigitte Bardot jeszcze interesowała się ludźmi, a ludzie nią, zaś Marlena Dietrich wciąż ośmielała się pokazywać swoje nogi na okładkach kolorowych magazynów). Czyta przez pół godziny Conservation News i – dla równowagi – Le Conservateur, przegląda codzienną pocztę (elektronicznej nie uznaje) i biuletyn „Co nowego w Muzeum”, zagłębia się na kilka chwil w którymś z krótkich opowiadań lub sonetów Borgesa, kartkuje jakiś album, po czym w swoim nieskazitelnie białym, wykrochmalonym fartuchu, narzuconym na sztruksową marynarkę (jedyną, jaką ma) z wytartymi łatami na wytartych łokciach, trzymając ostrożnie w ręce filiżankę kawy (chętnie napisałbym: dymiącej i aromatycznej, ale nie jest to prawda), zabiłonej jakimś paskudztwem chemicznym, odwiedza nasze pokoje. Podpierając się laską, kuśtyka wzdłuż stołów

konserwatorskich, przystaje przy sztalugach i stołach, zagląda nam przez ramię, od czasu do czasu rzucając nieśmiało, jakby w powietrze, krytyczną lub pochwalną (rzadziej) lakoniczną uwagę na temat postępów naszej pracy. Powszechnie przestrzegana jest zasada, by wyłączać w czasie tego porannego obchodu wszystkie radioodbiorniki, ponieważ informacje o tym, co kto komu, gdzie i jak bardzo, odtwarzane z lubością, deklinacyjnie i koniugacyjnie przez rozmaite rozgłośnie, wywołują lękowe skurcze na twarzy naszego szefa, widoczne drżenie jego lewej ręki i nasilenie chromania prawej nogi. Nie należy także kontynuować wcześniej rozpoczętych rozmów na tematy polityczne, ekonomiczne, społeczne i tym podobne, ponieważ wszystkie te sprawy nudzą i irytują doktora Vetulaniego. Nie cierpi też słów typu: sukces, kariera, sława, awans, pieniądze czy seks. Czyli tego wszystkiego, co nam zwyczajnym ludziom mrowi plecy, co w nas budzi podniecenie, rodzi napięcie. Słyszac strzęp, odprysk takiej rozmowy, zagadnięty o jego własne w tej materii przemyślenia, doktor cofa się bojaźliwie, trwożliwie ogląda za siebie, jakby szukał wsparcia u swojego anioła stróża lub geniusza, chowa chudą szyję z wystającą grdyką głęboko, głęboko gdzieś między ramiona, wychodzi z pokoju i zamyka się szczelnie w swoim pokoju...

...Czasami pojawia się wśród nas ktoś nowy. Zwykle są to praktykanci i praktykantki, studenci i studentki, studiów dziennych, zaocznych i podyplomowych, stażyści i stażystki. Przychodzą do nas na krócej lub dłużej. Chociaż u nas okropna ciasnota, nie protestujemy, bo zazwyczaj okazują się przydatni – mieszają kleje, krochmal, ucierają farby, przygotowują impregnaty, werniksy, robią wzorniki rozpuszczalników, czyszczą pędzle i skalpele, heblują i zbijają krosna. Nie rozróżniamy specjalnie naszych praktykantów i nie staramy się nikogo z nich wyróżniać. Tylko czasami obecność takiej osoby budzi nieco więcej emocji, ale wszystko kończy się o godzinie 18.30, gdy cicha kukułka oznajmia koniec pracy.

Tak było do chwili, gdy zjawiła się Anna, absolwentka Akademii.

„Sama zapłaci za wakacyjną praktykę, pracuje od niedawna w agencji reklamowej, a ma w centrum miasta, na poddaszu starej kamienicy malutkie ‘atelier’, gdzie po pracy coś tam maluje, projektuje plakaty, parę rzeczy już sprzedała, dostała też kilka nagród; staż u konserwatorów przyda jej się, bo czasami zgłaszają się do klienci, którzy chcą odnowić portret dziadka albo podkleić rozerwane końskim kopytem płótno obrazu ‘któregoś z tych Kossaków’, więc czy nie będzie przeszkadzać, gdy trochę poprzygląda się naszej pracy? Proste retusze przecież może robić od zaraz. W zamian pozna lepiej technologię i trochę konserwatorskich sztuczek”.

Od razu wiedziałem, że będą kłopoty.

Bo jak można przyjść do nowej pracy, do tak poważnej instytucji, z wielobarwnym pióropuszem na głowie, z brzuchem i piersiami prawie na wierzchu? Jak można tak śmiać się, wrzeszczeć i krzyżeć na całe Muzeum? Jak można już drugiego dnia praktyki kompletnie zlekceważyć prywatność szefa, doktora Vetulaniego, wtargnąć z rana do jego pokoju i zajmować mu cenny czas opowiadaniem o problemach bytowych i finansowych młodych artystów? Jak można rozkręcać radio na cały regulator, gdy właśnie jedno państwo bombarduje drugie i giną setki niewinnych ludzi, a dziennikarze atakują słuchaczy liczbami zabitych i rannych? W końcu, jak można, ledwie po dwóch czy trzech tygodniach pobytu w pracowni wyznać miłość staremu, zmęczonemu życiem i przygniecionym chorobami człowiekowi, stwierdzając bezczelnie, że tylko dojrzały mężczyzna może zaspokoić potrzeby i marzenia dziewczyny, szukającej dotąd bezskutecznie szczęścia w ramionach chłopców, których jedynym atutem jest...

Doktor Vetulani zrazu wcale nie zauważył awansów praktykantki, potem zarejestrował nieoczekiwany, wzmożony ruch wokół swojej osoby, którego sprawcą był ktoś, kto prawdopodobnie nawet nie jest jego pracownikiem, następnie dotarło do jego osobnej, skomplikowanej psychiki, że jakiś człowiek (chyba kobieta) interesuje się nim nie tylko jako kierownikiem, nadzorującym pracę grupy konserwatorów Muzeum, w końcu ze zdumieniem i przerażeniem skonstatował, że ten ktoś, ta osoba, ten człowiek (kobieta, młoda i – zdaje się – ładna) jego, Stanisława Vetulaniego, lat pięćdziesiąt ze sporym kawałkiem, kocha (tak bezrozumnie twierdzi) i żyć bez niego nie może, codziennie o nim myśli i marzy o wspólnej nocy, co jest śmieszne, wręcz szalone, bo, po pierwsze, nie można kogoś pokochać, jeśli zna się tego kogoś ledwie parę tygodni, po drugie, „miłość” to pojęcie, które on, Vetulani, może przeanalizować werbalnie, a nawet może i pozawerbalnie, ale nie będzie poddawać mu się ani ulegać, bo jest na to zbyt schorowany, ma inne rzeczy na głowie, no i ta różnica wieku! Zresztą, o czym mieliby rozmawiać? Przecież ona jest z innego pokolenia. I niechże coś narzuci na ramiona. Jak można tak – na miłość boską – paradować po muzeum? Ze starych ludzi nie wolno żartować, droga pani. Trzeba ich zostawić w spokoju...

Z cyklu *Daimonia*

Ryszard Lenc, 2006 r.